Nr. 13 | Należyt. poczt. opł. ryczałt. | We Lwowie, 1 lipca 1930 | Rok 52

ŁOWIEC

WYCHODZI 1 i 16 KAŻDEGO MIESIĄCA

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 9·— złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedynczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 200 zł., 1/2 str. 100 zł 1/4 str. 50 zł., 1/8 str. 25 zł., 1/16 str. 12·50 zł. — Ogłoszenia na pierwszej stronie o 50% drożej. Drobne ogłoszenia 30 gr. słowo.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, III p, (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we wtorki i piątki o godz. 12-tej Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839. — Telefon Nr. 18 - 59.

Czasy ochrony zwierzyny (Art. 48 i 49) **dla Małopolski.** Ciemne pola oznaczają czas ochrony.

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Jelenie - byki, daniele - rogacze	■	■	■	■	■	■	■	■			■	■
Sarny - kozły		■	■	▌20								
Zające - szaraki		■	■	■	■	■	■	■	■			
Borsuki	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Wiewiórki *)			■	■	■	■	■	■	■	■		
Głuszce - koguty	■	■	▌15		15▐	■	■	■	■	■	■	■
Cietrzewie - koguty						■	■	▌15				
Jarząbki		■	■	■	■	■	■	▌15				
Bażanty - koguty		■	■	■	■	■	■	■				
Kuropatwy	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Przepiórki	■	■	■	■	■	■	■	■				
Słonki					15▐	■	■	▌15				
Bataljony						■	▌10					
Dzikie kaczory						■	▌10					
Dzikie kaczki (samice i młode) oraz inne ptactwo wodne i błotne			■	■	■	■	▌10					

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Dzikie łabędzie i dzikie gęsi					15▐	■	■					
Dropie*), dropie kamionki (strepety), dzikie gołębie, drozdy, kwiczoły, paszkoty		■	■	■	■	■	■	▌15				
Ptaki krukowate i drapieżne z wyjątkiem jastrzębi gołębiarzy, krogulców, wron i srok		■	■	■	■	■	■	▌15				
Żubry, bobry, kozice, świstaki, samice i cielęta: łosia, jelenia, daniela, sarny-kozy i koźlęta, niedźwiedzice od niedźwiątek, głuszce-kury, bażanty-kury, czarne bociany oraz w województwach: pomorskiem, poznańskiem, warszawskiem, łódzkiem, kieleckiem, lubelskiem, krakowskiem, lwowskiem, tarnopolskiem i stanisławowskiem cietrzewie-kury	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■

*) Na mocy dodatkowego rozporządzenia Min. rol. ochrona przez cały rok do odwołania.

Kalendarz ten nie obejmuje czasowych rozporządzeń Województw małopolskich, tyczących przedłużeń czasu ochrony pewnych gatunków zwierzyny łownej.

TREŚĆ NUMERU 13:

Nr. 13 We Lwowie, 1 lipca 1930 Rok 52



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

ALEKSANDER PRZEDRZYMIRSKI

Po śladach legendy

(Ciąg dalszy)

Lecz nie sami ludzie tego pokroju bywali na huwnickich polowaniach, owszem spotykało się tam i myśliwych w całem znaczeniu tego słowa.

Wspomnę tylko generała kawalerji Kowalskiego, właściciela dóbr Bircza, myśliwego i hodowcę. — Była to postać drobna, nerwowa, o wielkim osobistym wdzięku. Mimo drobnej postaci było na co spojrzeć, gdy przy jakiejś uroczystości przybrał Pan Generał swój huzarski czerwony mundur galowy z wszystkiemi dekoracjami i dystynkcjami generała kawalerji. — Towarzyszył mu zwykle jego przyjaciel b. rotmistrz Eipert, przestrzelony niegdyś skrytobójczo kulą rewolwerową na wylot. — Rotmistrz był Niemcem i polował z niemiecką karnością i dokładnością. W czasach, gdy nie przywiązywano żadnej wagi do trofeów, które były zwykle deputatem kucharza i grzęzły zwykle w worku domokrążcy żydowskiego, by później być przerobionemi na trzonki do nożów lub guziki, zebrał p. Rotmistrz wspaniały zbiór rożków sarnich, a zwłaszcza myłkusów wprost nieprawdopodobnych.

Bywał też na tych polowaniach młody jeszcze wówczas Florjan Kozłowski z Lipy, dzielny myśliwy i pierwszorzędny strzelec kulowy, dalej dobrzy myśliwi Panowie Capińscy, Jan z Łodzinki i brat jego pułkownik. — Nie obcy tym kniejom bywał generał Majewski z Przemyśla, będący dziś mimo obłożonej siedmdziesiątki, przykładem żelaznej wytrwałości i niespożytej werwy łowieckiej. — Na obiadach zjawiał się stary facecjonat p. Morelowski z Leszczanki, a czasem także jowialny ksiądz Gwardjan OO. Franciszkanów X. Benigny Chmura, późniejszy Prowincjał z klasztoru w Kalwarji Pacławskiej, którego kolatorami byli Tyszkowscy.

Godzina robiła się późna, zajeżdżały kałamaszki i goście jeden po drugim żegnali gościnne progi. — I tak w wigilję św. Michała bywało co roku. Oprócz tego tradycyjnego polowania bywało jeszcze kilka pomniejszych, zresztą przez całą zimę polowali „Draby" na ogromnych przestrzeniach dóbr huwnickich.

W latach obfitych w słonki odbywały się też na nie oficjalne polowania. Szczególniej miłe mam wspomnienia z tych polowań na „Makówkach". Było to kilkuset morgowe, debrami pocięte i gęsto opasionemi krzakami zarośnięte pastwisko gminne w gminie Makowa, między Huwnikami a Rybotyczami. Nieraz w jesieni roiło się tam od słonek. Polowano z pogonką ale zawsze kilka psów wałęsało się za „Drabami", więc i na głosie ogarów użyć było można. Rozkłady bywały różne, stosownie do ilości słonek. Padało ich czasem kilkanaście, do tego jeden, dwa lisy i parę zajączków.

Gdy mówiło się wyżej o Panach, poświęcić wypada słów kilka i „Drabom". Z pośród wielkiej ich liczby, trzech utkwiło wyraźniej w mojej pamięci. „Stary" Marcin, który trąbił na rogu, niczem ś. p. Wojski. Jego sztuką tak rozczulił się przebywający wówczas u Tyszkowskich zrujnowany stary hr. Bukowski, że rzucił mu do rogu z niezrównanym pańskim gestem jednego z ostatnich dukatów, jakie posiadał. Drugi z nich, także Marcin, dla odróżnienia zwany „Długim" chłop wyrośnięty jak jodła, zginął z początkiem XX wieku, zamordowany w lesie hubickim obok Dobromila przez niewyśledzonych bandytów. Ten dzięki długim swoim nogom gonił zawsze równo z psami, najwięcej też strzelał.

Trzeci arystokrata wśród „Drabów", karbowy z któregoś folwarku, zwany „Dzwonnikiem". Ogromny człowiek o sympatycznym wyglądzie i nacechowanem godnością zachowaniu, był niezrównanym tropicielem i wyrocznią co do znajomości przesmyków dziczych. Wszyscy trzej pamiętali jeszcze złoty wiek łowów huwnickich i czasy dalekich wypraw Pana Józefa i wraz z nim stali nad niejednym niedźwiedziem czy jeleniem powalonym gdzieś w głębi Karpat.

Nie pamiętam już dokładnie roku, nocowało nas kilku w Trójcy po jakiemś jesiennem polowaniu. W nocy otworzyły się upusty niebieskie a nad ranem wzmogła się jeszcze nawalnica. O wyjeździe nie było mowy, kręciliśmy się po domu, zabijając czas, jak się dało. W pewnej chwili, gdy ulewa się umitygowała, ktoś zaproponował, by wyjść na ganek i strzelać do celu. Projekt uzyskał ogólny aplauz, zaczęto więc pukać śrutem o zakłady do flaszek, do czapek, do rzucanych w górę dwóch kartofli, które trzeba było trafić w dublecie i innych t. p. sztuk. Pan Antoni, który lubił ładne strzały, asystował tej zabawie. Miałem wówczas doskonały trzylufek Tabaczkowskiego z expresową lufą 450 na flaszkowy ładunek Kropaczek-Heisig do prochu słabo dymnego, bronzowego, podobnego zupełnie do ziarn rzepaku. Z broni tej byłem doskonale wstrzelany i śrutem i kulami. Dach naprzeciwległej stodoły obsadzony był gołębiami, których w Trójcy tak samo, jak i w innych folwarkach huwnickich przebywały setki. Po pierwszych strzałach spłoszone gołębie zerwały się i krążyły całą ogromną chmurą, ale w miarę dalszych strzałów uspokoiły się powoli, obsiadły z powrotem stodołę i tylko od czasu do czasu wzlatywały małe ich grupy i krążyły nad nami, by za chwilę ustąpić miejsca innym. Widząc to, włożyłem nieznacznie kulowy ładunek do expresa i zapytałem Marszałka, o którym wiedziałem, że jest wielkim protektorem tych ptaków, czy pozwoli strzelić do gołębia. „Dobrze uważacie mnie, tylko nie w kupę". Nadlatywało właśnie pięć gołębi srokatych i ciemnych, wśród których odznaczał się jeden zupełnie biały. W chwili gdy mijały nas na wysokości mniej więcej trzydziestu kroków, biały gołąb wzniósł skrzydła w górę i wolnym lotem spływał ku dachowi, na którym zamierzał usiąść. Wymierzyłem sumiennie tak, jak to mówią „do rodzonej świekry" i gołąb rozleciał się w puch, zamieniając się w chwili strzału w tuman białego pierza.

„Ależ ta twoja strzelba gęsto bije" zawołano. „Rzeczywiście bardzo gęsto" odpowiedziałem, łamiąc trzylufek, którego obydwie lufy śrutowe były zupełnie puste i wyciągając dymiącą jeszcze łuskę expresową.

„E, to czysty przypadek" ktoś zauważył pobłażliwie. „Próbuj jeszcze raz". Spojrzałem na Marszałka w nadziei, że nie pozwoli, ale ten kiwnął potakująco głową. Strzeliłem, gołąb zdrów poleciał. „A co nie mówiłem", zaznaczył życzliwy któryś spektator. Ambicja moja była podrażniona. Włożyłem nowy ładunek. Nadlatywał właśnie pojedyńczy siwy gołąb i gdy zbliżył się na kroków może 40, skręcił nagle z powrotem, wzbijając się równocześnie w górę, tak że dokładnie ujrzałem siwe jego plecy. Od dawna miałem go na celu, ale strzelać nie zamierzałem, gdyż wydawało mi się, to bezcelowem. Ale nie dosyć szybko zatelegrafowałem ten rozkaz memu palcowi spoczywającemu na czułym cynglu, palec się skurczył i kula opuściła lufę. — Gołąb poleciał, — za memi plecami zabrzmiało szydercze brawo, ale nie przebrzmiało jeszcze, gdy gołąb wywinął w powietrzu młynka i spadł jak kamień na ziemię.

Przyniesiono tego gołębia i pokazało się, że kula wystrzelona mimo mej woli zczesała go po głowie, zdejmując z niej kawałek czaszki, tak jak pokrywkę z czajnika. Mózg obnażony, był zupełnie nietknięty — poprostu trepanacja pierwszej klasy. — W tej chwili uczułem czyjąś rękę na mojem ramieniu i usłyszałem słowa „Daj już spokój, uważacie mnie, szkoda gołębi". Ten strzał był zupełnie przypadkowy, ale strzegłem się pilnie, by na to zwrócić czyjąkolwiek uwagę. — Dziś po długich latach przypominam sobie ten epizod z wielką przyjemnością.

Do tych mas gołębi ściągało się mnóstwo drapieżników, zwłaszcza jastrzębie gołębiarze wyrządzały ogromne spustoszenia. Tępiono je też niemiłosiernie i w okresie, który temi wspomnieniami obejmuję, były wszystkie budynki gospodarskie w Huwnikach i Trójcy a zwłaszcza stajnie udekorowane rozkrzyżowanemi palumbariusami. Taki rozkrzyżowany jastrząb wysychał i trwał bardzo długo, a że przybywały coraz nowe, musiano zrzucać stare mumie, by znaleźć miejsce dla nowych.

(C. d. n.)



JAROSŁAW HUBALEK

GENERAŁ

sylwetka karpackiego dzika

Autoryzowany przekład z czeskiego WŁ. KARNKOWSKIEGO

(Ciąg dalszy)

Minęły gody i lochy opuszczone przez kochanków samotnie chodziły z warchlakami. Ci zaś, zapomniawszy o niedawnem szczęściu — myśleli tylko o podniebieniu. Nie było to łatwe zadanie. Kwiat bukowy zmarzł — więc i buczyny było mało, a żołędzi szukać trzeba daleko, aż na równinach leśnych pod Użhorodem. A tam jakoś nieswojo... Laski małe, przecinane co parę lat, sadzone równo, jak pod sznur. Zapuściły się tam tylko sztuki słabsze — kapitalne odyńce i lochy z małemi, zostały w górach.

Przyszła zima, a z nią śniegi, na metr wysokie, zaległy kraj. Póki było miękko, żyło się jako tako. Zwierzyna poruszała się z trudem, ale i wilkom nie było lepiej. Dopiero po odwilży — śnieg stwardniał na wierzchu i łamał się pod racicami jeleni i sarn, podczas gdy wilk szedł lekko po wierzchu.

Dla generała było to obojętnem. Nie istniał dlań nieprzyjaciel poza człowiekiem, unikał też tych okolic, gdzie mógł się z nim spotkać. W niższych górach, gdzie są liczne łączki i pólka, korzystali obecnie Rusini z dobrej sanny i zwozili do wiosek siano. Pełno było ludzkich nawoływań i psiego szczekania. Tego Generał nie lubił — toteż wolał pozostać w bukowych i jodłowych lasach wysokich gór. Sypiał pod staremi wykrotami, na żer wychodził nocą.

Jakoś w tym czasie dostała straż leśna rozkaz odstrzelenia o ile możności odyńca, nie zaś pełnej lochy, dla urzędu leśnego. W rewirze służył nowy leśniczy, niedawno przybyły z Czech. Z gorliwością zabrał się do rzeczy. Wiedział, że idąc miękkim śniegiem po tropie — można podejść zwierza w legowisku, lecz nie znał jeszcze różnicy między karpacką puszczą, a rzadkim lasem równinnym, po kilkakroć trzebionym. — W nocy spadło trochę śniegu, ponowa była wyborna. Napełnił więc plecak jadłem, termos gorącą herbatą, wziął sztucer, gajowego do pomocy i hajda w góry! Śnieg był miękki, jak jedwab, biała okiść malowniczo wisiała na każdej gałązce. Na pierwszym szczycie za wioską leśniczy odpoczął dziesięć minut i puścił się dalej. Nieco wyżej znalazł trop i to dużej sztuki. Rapety szerokie — głęboko zaryte w śnieg, dowodziły znacznej wagi. Trop doprowadził na stok porosły trzydziestoletnią jedliną, świerczyną i buczyną. „Tu będzie leżał" szepnął gajowy. Leśniczemu serce żywiej zabiło. Opatrzył raz jeszcze broń, pozostawił gajowego za sobą i ruszył naprzód. — Z początku szło się nieźle. Wkrótce jednak przekonał się, że podchodzenie po śniegu nie takie łatwe, jak przypuszczał. Tu zwisa nad tropem krzywy konar bukowy i sypie śniegiem za kołnierz, tam zaś dzik przesadził jemu tylko znaną młakę, do której leśny wpada powyżej kostek... Najgorzej w gąszczu. Iść trzeba cicho z wytężonem okiem i uchem nastawionem. Gajowemu kazał zostać w tyle o sto kroków, byle jak najmniej robić hałasu i szedł tak po tropie dobrą godzinę.

Okazało się, że dzik przeszedł las i wiódł za sobą myśliwego w poprzek stoku, zarosłego starodrzewem. Szło się tu trochę lepiej, za to śniegu leżało wyżej. Trop zaś minął grzbiet góry i spuszczał się przeciwległym stokiem, zawalonym pniami padłych od halnego wiatru drzew. Były to trudne do zwalczenia przeszkody. Leśniczy był zgrzany, a prócz tego śnieg na kołnierzu topniejący ściekał mu za koszulę i ziębił nieznośnie. A trop znów szedł pod górę. Słońce przechyliło się na drugą stronę. Obejrzał się, gajowego ani słychać, ani widać nie było. Nic to! W miarę trudu i przeciwności rosła energja leśniczego i upór. Wszak ten dzik wyraźnie mu urąga! A jaki ogromny! Jaki potężny ryj tu w śniegu odciśnięty, jakie olbrzymie rapety, godne rocznej jałowicy.

Gajowy był o jakie dwieście kroków w tyle. Nic dziwnego. Był o jakie dwadzieścia lat od leśnego starszy i o wiele doświadczeńszy. Bo i poco iść niewolniczo śladem? Nie lepiej ścieżką iść na przełaj i wpaść znów na trop? To przedzieranie się gąszczami nie ma sensu. — Raz, że się zwierza spłoszy, powtóre jak strzelać w ciemnej gęstwi. Nie ujrzysz dzika, jeśli go nie zejdziesz na parę kroków — a to znów nie ciekawe. Niech leży zadem do ciebie, jak strzelisz na komorę? A postrzelić? Brrr. — Dziękuję!

Z zadumy wyrwał go odgłos strzału — jednego, potem drugiego i rozpaczliwe wołanie leśniczego: „Na pomoc!" Sztucer do nogi i gajowy, jak młodzik rwał przed siebie. W biegu strzelił w powietrze na postrach zwierzowi. Dobiegając do celu, usłyszał z boku trzask łamanych gałęzi. Dopadł wreszcie celu. — Pod kłodą, wiatrem wywróconą — leżał leśniczy, blady, z włosem zlepionym na skroniach potem i jęczał boleśnie. Gajowy pochylił się nad nim i śniegiem rozcierał czoło i skronie zemdlonego. Leśniczy otworzył oczy, pełne jeszcze grozy i strachu. Posadzony pod kłodą i orzeźwiony kilkoma łykami gorzałki, zaledwie urywanemi słowy opowiedział co się stało. Przedzierał się gęstwą młodych odrostków chwytany co krok przeklętymi splotami jerzyny, gdy w tem z pod kłody wstało czarne cielsko olbrzyma nie dalej, jak o trzy kroki. Zmierzyć się i strzelać było dziełem jednej sekundy. Niestety — kula przeszła bokiem. Drugą wystrzelił mimowoli w momencie, gdy odyniec rzucił się na niego. Palnął go łbem, rzucił w śnieg pod kłodę, przesadził jednym skokiem przeszkodę i umknął. Chwila ataku była tak groźna, że do śmierci nie da się zapomnieć. Na domiar złego, padając, musiał zwichnąć nogę w kostce, bo boli go nieznośnie. Na szczęście z gajowego był kawał znachora. Światową wojnę przesłużył w oddziale sanitarnym, a chyba trudno o lepszą praktykę chirurgiczną. Co prędzej ściągnął leśniczemu but, obnażył bolącą nogę i zabrał się do pierwszego opatrunku. Na ścięgnie znalazł ogromny siniec od uderzenia ryjem. Mogło to boleć, ale było niczem w porównaniu ze

zwichnięciem w kostce, które potrzebowało prędkiej pomocy, nim przyjdzie spuchlizna. Obmacał, obejrzał — chwycił mocno — pociągnął raz, szarpnął powtórnie, aż leśniczy krzyknął z bólu. Potem wziął pacjenta na plecy, wyniósł na ścieżkę, posadził pod bukiem i rozniecił ogień. Nie czekał rozkazu, ani pozwolenia — zostawił leśniczego przy ogniu i ruszył do najbliższej wioski. Za dwie godziny nadbiegli czterej Rusini, mocni jak niedźwiedzie, z tyczek i guni zrobili nosze i ponieśli leśniczego.

Przeleżał nieborak cały miesiąc. żartów i kpinek nie szczędzili mu koledzy cały czas, nie tając zresztą radości, że tak szczęśliwie wyszedł ze spotkania. Albo dzik nie być z natury zły, albo był bardzo wystraszony. Całe szczęście, że był chybiony. Ranny byłby niezawodnie dłużej się nim pobawił i farsa mogła się skończyć tragicznie. Przebudzony nagle, przerażony hukiem i świstem dwóch kul, wolał się ratować ucieczką nie z rewiru ale z całej okolicy, gdzie go w tym roku nikt już nie widział.

Było to jakoś przed Bożem Narodzeniem. Po zaśnieżonej drodze zdąża do porębu leśniczy, by odebrać od drwali dzienną robotę. Wprost niego para wołów ciągnie ogromną furę gałęzi. Pogania je Rusin, stary wilk puszczański, znający się na tropieniu wszelakiego zwierza leśnego lepiej od wszystkich gajowych razem wziętych. Już z daleka zobaczywszy leśniczego, począł kiwać ręką, a dojechawszy go, zameldował tajemniczo, że pod Szepowcem jest ogromny dzik. Ranny w nogę — farbuje mocno, za nim trzy wilki. Ze śladów sądząc, musi być bardzo duży, może Generał. Przyszedł od wioski i pewnie kłusownicy go postrzelili. Leśniczy spojrzał na widny w dali Szepowiec. Piętnastoletni mieszany porost, gęsty, jak szczotka, poprzerywany „jarugami" wodą ongiś wymytemi.

Decyzja była szybka. „Spieszcie stary do wsi, zbierzcie trochę ludzi, drwali poszlę za wami — i zajmijcie Szypowiec od Skałek w stronę drogi. Tam się rozstawimy: gajowy, ja i adjunkt. Mało nas, ale wilki nie czekają — spróbujemy". Za godzinę byli już na stanowisku, a naganka równo i cicho zabierała ogromny miot.

Na linji strzelców grobowa cisza. W prawo od adjunkta na małym przesmyku leśnym, poprzez brzezinę majaczy płowy cień. Strzał! i wilk jednym skokiem ginie w gęstwie... pudło! Dwa inne pod kątem prostym zwracają w lewo i szczęśliwie wychodzą z miotu. Strzelany młodzik gąszczami poszedł wzdłuż linji i padł na małej polance od kuli leśniczego. A w miocie tymczasem powstał zgiełk nieopisany. To Generał naparty w legowi ku przez nagankę, roztrącił ją w mgnieniu oka, po alił dwóch ludzi, szczęściem nieszkodliwie i brocząc rbą, rozpaczliwie uchodził w tył. Tropiono go 4 kilometry, daremnie. Odpoczywał, chłodził przestrzelone na wylot zadnie uda śniegiem i szedł uporczywie naprzód, brocząc swe ślady obficie. Granica była tuż — pościgu musiano zaniechać i Generał uszedł nowej — może ostatniej kuli... Znalazł głęboki zakątek w głębokiej wyrwie, a w niej spokój aż do końca zimy. (C. d. n.)

Międzynarodowa wystawa łowiecka w Lipsku

Sądząc ze sprawozdań niemieckich czasopism łowieckich, międzynarodowa wystawa tegoroczna łowiecka w Lipsku jest rzeczą bardzo udatną. Jeżeli porównamy ją ze słynną Wystawą 1910 w Wiedniu pod względem ilościowym, to wystawa w Lipsku jest wobec tamtej minjaturą, pod względem jednak jakościowym zdaje się stać z tamtą na równym poziomie. Przedewszystkiem uwzględniono w sposób bardzo obszerny i szczegółowy dział historyczny łowiectwa niemieckiego. Złożyły się nań zbiory drogocennych broni, malowideł, trofeów i szematyczne wykazy rozwoju niemieckiej kultury łowieckiej.

W wystawie, prócz Niemiec, wzięły udział następujące państwa: Austrja, Rumunja, Węgry, Czechosłowacja, Jugosławja, Hiszpanja, Holandja, Danja, Norwegja (nieoficjalnie), Szwajcarja i Francja. Trofea egzotyczne reprezentują faunę myśliwską Azji, Afryki i Nowej Zelandji.

W dziale niemieckich wieńców jelenich na pierwszy plan wysuwają się Prusy Wschodnie i niem. Pomorze. Kapitalne 16-ak nadleśniczego Geissla i 18-ak leśniczego Rosenstiela uważane są za najlepsze, jakie kiedykolwiek na wystawach łowieckich w Niemczech się ukazały. W dziale rumuńskim uwagę i podziw wzbudza karpacki 18-ak prof. dr. Redici, o wadze 23½ funtów. Dział ten urozmaicają doskonale spreparowane okazy jeleni, niedźwiedzi, rysi i wilków. Efektownie przedstawia się niedźwiedź w walce z chłopem-myśliwym.

Najspanialej co do ilości jak i jakości trofeów wystąpiły Węgry.

Widzimy tam także sławny rekordowy wieniec Ks. Montenuowo i rekordowe łopaty daniela. Wystawiono też sławny historyczny zbiór trofeów ks. Pawła Esterhazy'ego. Wzięło też udział w wystawie Muzeum rolnicze w Budapeszcie ze swym zbiorem historycznej broni myśliwskiej, obrazów i preparowanych okazów fauny węgierskiej. Wieńce jeleni węgierskich, jak sądzą fachowi sprawozdawcy, pobiją wszystkie inne wystawione, siłą i rozmachem swych pni, a tembardziej zdaje się to pewnem, jeżeli się zważy, że figurują tam 22 wieńce na innych wystawach pierwszemi nagrodami już odznaczone, z pozostałych zaś, 55 wieńców wykazuje według klasyfikacji systemu Nadlera powyżej 200 punktów.

Najpoważniejszym wieńcem w tym dziale jest nierówny 20-tak ks. Augusta Hohenlohe o wadze 25 funtów, pochodzący z Tatr. Bardzo interesujące eksponaty dała Jugosławja w rożkach sarn i kozic. Hiszpanja przedstawia nam faunę Pirynejów; na szczególną uwagę zasługują rogi koziorożców pirynejskich. Danja i Holandja wystawiła wieńce jeleni i danieli. Norwegja nie przyłączyła się do Wystawy,, widzimy jednak norweskie doskonałe łosie i kozły ubite li tylko

przez niemieckich myśliwych. Szwajcarja wystąpiła z okazami alpejskiej ornis, z kolekcją spreparowanych świstaków, kozic i koziorożców. Francja wystąpiła tylko dekoratywnie. Wspaniałe obrazy, meble, gobeliny ozdabiają sale wystawowe robiące wrażenie wnętrza magnackiego zamku myśliwskiego.

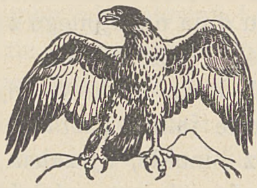
Azja i Afryka reprezentują się dość skromnie. Nowa Zelandja wykazuje bardzo interesujące wieńce jelenia europejskiego, tam zaaklimatyzowanego.

W dziale „Niemieckiego Zakonu sokolniczego" (Deut. Falkenorden) wzbudza w widzach zachwyt bezcenna japońska kolekcja sokołów, własność japońskiego dworu cesarskiego.

O Polsce wspominają sprawozdawcy niemieccy z żalem, że zgłoszony już, bardzo bogaty i do ostatnich szczegółów doskonale przygotowany zbiór trofeów w ostatniej chwili z Wystawy wycofała, wskutek czego Zarząd Wystawy nie mało miał trudności z zapełnieniem dla polskiego działu przeznaczonych ubikacyj.

Jak widzimy z powyższego krótkiego sprawozdania, nie wszystkie państwa obesłały Wystawę. Nie mogliśmy się dopatrzeć wzmianki o udziale Ameryki, Włoch, Szwecji, Rosji i Finlandji.

A. M.



FRANTZ MUNCH ROSENBERG

Łowy na grubego zwierza

Tłum. z angielskiego A. M.

(W Kolumbji brytyjskiej. Niedźwiedź. Caribou)

(Dokończenie)

Caribou jest niezbędnym dla wszelkich plemion koczowniczych indyjskich w półn. Kanadzie i w Alasce, jak również i dla ich sąsiadów Eskimosów. W rzeczywistości, jeśli nie zdążą oni schwytać stada w czasie ich corocznej wędrówki, zagraża wtedy głód i nędza całemu plemieniu. Oprócz pożytku z mięsa, wyrabiają ze skóry odzież, mocasyny, orczyki do psich sań i t. d. i posiadają specjalny sposób farbowania, używając do tego mózgu zwierzęcego, a ufarbowaną skórę zawieszają w dymie, gdyż utrzymują, że to zabezpiecza skórę od zsychania po zamoknięciu, chociaż nie znajduję wcale różnicy w zwykłej jeleniej skórze, która nie wisiała w dymie.

Niewygarbowana skóra pocięta w długie paski „Babiche" w Kanadzie francuskiej używana jest do wyrobu śniegowców i do wielu innych przedmiotów, a niektóre części żył z muskułów i nerwów służą do szycia ubrań i „mocasynów", ponieważ nigdy nie gniją.

Dennis zwierzył mi się raz, że użył Caribou na przynętę jako najlepszą do swych pułapek na lisy w zimie, czyniąc to w sposób następujący: gdy dostrzegł stado caribou, zastrzelił z nich 6 albo 8 sztuk z daleka, wcale się do nich potem nie zbliżając, a pozostawiając je umyślnie

WŁ. K.

URYWKI Z PAMIĘTNIKA

Schodzimy potem aż do stanowiska Skarbnika, gdzie mamy czekać — posilając się — na rezultat tropienia za zbiegłemi dwoma sztukami dzików będących zapewne haremem naszych odyńców.

Od nas w górę ciągnie się linja główna przed chwilą pędzonego miotu, zaśnieżona, błyszcząca w słońcu i przekreślona smugami serdecznej krwi dziczej widocznemi z daleka. Chwilka skupienia spowodowana tym widokiem, pozwala nam ujrzeć tę samą linję o godzinie 12 w nocy.

Noc bezksiężycowa, ale od śniegu widno. Z przedłużenia linji „Kolistego Gronia" słychać ciężkie żałosne westchnienia przechodzące w zawodzenie i z tamtej strony wyłania się seledynowo świecąca mglista postać opiekuńczego ducha „Kolistego Gronia". Płynie powoli wzdłuż linji, szukając schylonym wzrokiem czarnego — w tem oświetleniu — pasma farby plamiącego niepokalaną do dziś biel górskiego śniegu. Świerki po obu stronach linji chylą się kornie w objęcia ducha, który żałośnie opłakuje stratę dwóch swych pupilów, dorodnych śmiałych odyńców, które udało się przez 6 lub 7 lat ku swej i otoczenia radości uchronić od brutalności człowieka. Dziś pierwsza noc od lat siedmiu w której duch „Kolistego Gronia" nie pogłaszcze pieszczotliwą dłonią z mgieł, pięknych lśniących czubów swych dwóch wychowanków, nie wskaże im spróchniałych pni odwiecznych jodeł, w których pochował dla nich smaczne poczwarki i grzybnie, bo wróg dwunożny, uważający się za pana stworzenia, wtargnął w to serce puszczy, pomordował jej dzieci, zbryzgał ich krwią białą szatę boru, zbezcześcił tę świątynię cudnego milczenia grzmotami swej broni i uniósł stąd swą bezwstydną radość! Zawodzenie ducha władającego „Kolistym Groniem" przenika nasze ukryte pod blichtrem cywilizacji umiłowaniu i zrozumieniu natury jeszcze dostępne komóreczki serdeczne i pobudza nas do pewnego wyznania naszej winy, którą jakże chętnie naprawilibyśmy w tej chwili! Biedny duchu „Kolistego Gronia", przyjm — jeżeli Cię to pocieszyć zdoła — zapewnienie, że choć czyny nasze zadają temu kłam, rozumiemy Cię zupełnie i w chwili zastanowienia się łączymy się z Tobą w płaczu nad krzywdą jaką Ci wyrządziliśmy.

Pojawienie się tropiciela Wojtka wyrywa nas z zadumy a usłyszawszy, że na „Stonowie" jest otropiony duży dzik, zapominamy o treści słów skierowanych przed chwilą do ducha „Kolistego Gronia" i pędzimy w dół, by zakłócić spokój ducha „Stonowa".

aby gniły i cuchnęły. Umieścił wtedy sznurek od pułapki w około gnijących caribou, a woń padliny przyciągała lisy z dalekich okolic.

Przeszliśmy część północną Ostrych Gór i mniejwięcej po godzinie drogi doszliśmy do małego, niskiego pagórka, który się znajdował w środku pustkowia zupełnie równego, niczem nie osłoniętego. Siadłszy, podałem binokle Dennisowi. Długo oglądał naokoło okolicę, nie odzywając się wcale, ale zauważyłem, że jednak w końcu wpatrywał się długo i uporczywie w jedno szczególnie miejsce, więc zapytałem go, czy co odnalazł, odrzekł mi z nadzwyczajnem przejęciem, że widzi „Duże Caribou"!

Od pewnego już czasu odnosiłem się sceptycznie do pojęć i wyrażeń Dennisa, jak „ogromne", „duże" zwierzęta a uważając siebie za znawcę, już choćby rogów reniferów, odebrałem mu szkła. Daleko od pustkowia, w małem zagłębieniu tundry, pasło się stado 10 do 12 sztuk, i ledwie mogłem odróżnić przez binokle między nimi 2 wspaniałe okazy z białemi szyjami.

Natychmiast wyruszyliśmy do nich. Zauważyłem w drodze podłużne wgłębienia, brzegiem którego sunąc się, mogliśmy się zbliżyć niespostrzeżeni do małego wzgórza, które się znajdowało niedaleko stada Caribou. Nie znaleźlibyśmy nic innego do ukrycia się w tej okolicy. Wiatr był silny i nareszcie po uciążliwem długiem czołganiu się na brzuchach dotarliśmy do upragnionego małego wzgórza, ale pokazało się, że za odległego na strzał, bo z górą na trzysta yardów! W dodatku złapała nas straszna ulewa z gradem prosto w twarz.

Te dwa byki były wyjątkowo piękne! Olbrzymie w porównaniu z bykami w moim kraju. Barwę miały prędzej bronzową niż popielatą, a silne karki śnieżnej białości posiadały długie pod spodem wiszące kudły. Zapewne musiał to być okres bekania, gdyż miały karki nadęte, a jeden z nich wydawał ochrypłe beczenie, jak to czynią byki, gdy polują na samice. Rogi ich wydawały się niezwykłej wielkości.

Dennis zadrżał cały jak w febrze i chciał, bym strzelił do jednego Caribou, ale odległość zbyt wielka dla strzału nie zachęcała mię do tego czynu. Caribou stały się niespokojne, gdyż jakiś mały byk, któregośmy nie spostrzegli, nas zwęszył.

Ponieważ zauważyłem, że coś już namyślają się uczynić, postanowiłem wystrzelić i założywszy na 200 yardów, celując wysoko, wypuściłem strzał do najbliższego byka. — Byki poczęły biegać strwożone, więc znowu strzeliłem kilkakrotnie ale bez widocznego rezultatu.

Wciąż się dalej niepokoiły one, a ja tymczasem założyłem odległość na 300 yardów i wystrzeliłem. Wnet posłyszałem wyraźne „tak" i ogromny byk zaczął się zrazu kręcić w kółko, a potem upadł. Zwróciłem natychmiast uwagę na drugiego, który był większy. Ten oddzielił się zupełnie od stada i był na niemożliwie dalekiej odległości dla mojego starego 303 sztucera. Po drugim jednak strzale zachwiał się; trzeci strzał złamał mu przedni badyl w łopatce; jednak pomimo, że starał się utrzymać równowagę, upadł w końcu na ziemię.

Oba te byki były wspaniałe, ogromne i mające takie rogi, że każdego sportsmena wprawiłyby w dumę.

Zmierzyłem krokami odległość, do pierwszego jelenia 304 yardów, a do drugiego — prawie 500 yardów. pierwszy trafiony był 3 razy, a drugi — 2 razy.

Zdjąłem z nich miarę moją stalową taśmą i pokazało się, że wzrost największego wynosił 59 cali na karku, a długość od nosa do ogona — 97 cali. Wysokość rogów wynosiła 53 cali, rozpiętość rogów 40 cali, obwód w nasadzie 7½ cala, a wszystkich odnóg było 30.

Drugi byk był trochę mniejszy, ale miał ładniejszą głowę. Oba były przeraźliwie tłuste: po zdjęciu z nich skóry wydostaliśmy z ich grzbietów całą warstwę tłuszczu inaczej „masło-caribou", około 3 stóp długości, a 4 cali grubości.

Wspomniałem wyżej, że był to właśnie okres bekania, zdradzała to pewna niemiła od nich woń i ich nadęte karki. Z ciekawości zmierzyłem ich szyje: wynosiły 55 cali obwodu w środku.

Pogoda coraz to więcej się psuła, a że obydwaj byliśmy zupełnie przemoknięci, chcieliśmy więc znaleźć schronienie przy ogromnym kamieniu, biorąc się do naszego skromnego posiłku; zanadto jednak było nam tam niewygodnie, więc zaproponowałem powrót do obozu.

Wypatroszywszy byki, odchodziliśmy już, mając zamiar powrócić tu dnia następnego z końmi, aby zabrać jaknajwięcej mięsa i obie głowy.

Ledwieśmy uszli kilka kroków, gdy obejrzawszy się, ujrzałem niewyraźne jakieś kształty za nami we mgle. Spojrzawszy przez binokle, ujrzałem nowe stado Caribou, które dążyło do miejsca, gdzieśmy pozostawili zabite byki; na przodzie tego stada szedł duży byk, jakby jego przewodnik. Dennis chciał natychmiast powrócić i strzelić do niego, gdyż mówił, że trzeba z okazji korzystać, póki pogoda się nie zepsuje zupełnie i nie umożliwi polowania.

Tymczasem stadko to zatrzymało się na otwartem miejscu, więc wobec niemożliwości podejścia go, chciałem zostawić je w spokoju i powracać do obozu. Dennis jednak upierał się i dowodził, że ułatwi zbliżenie się do tych Caribou.

Wziął więc obie strzelby i trzymał je skrzyżowane w powietrzu, tak, że wyglądały jak para rogów Caribou, ja zaś złapałem go za biodra, zgiąłem się nisko i przykryłem nas obu moim płaszczem od deszczu. Skierowaliśmy się następnie prosto do stadka, naśladując jak można najlepiej chód Caribou.

Na nasze szczęście słońce wyjrzało z za chmury, świecąc prosto w oczy zwierzętom; mało jednak kładłem nadziei w ten pomysł Dennisa.

Gdyśmy się trochę zbliżyli do nich, zauważyliśmy, że się bez ustanku wpatrują i wpatrują w to dziwne zwierzę idące do nich, rzucając się w bok od czasu do czasu. Nakoniec byk na przodzie zrozumiał, że to zapewne zbliża się rywal jego, pragnący odebrać mu cały jego harem i chrapiąc i kipiąc ze złości, wyruszył naprzód.

Położenie to było tak komicznem, że tylko z wielkim trudem wstrzymywałem się, aby nie parsknąć śmiechem.

Zbliżywszy się już bardzo do tego stada, ale na odległość dla strzału dostateczną, nie mogłem już dłużej czekać i puściwszy biodra Dennisa schwyciłem broń i zanim się jeleń spostrzegł, wystrzeliłem doń tak celnie, że upadł odrazu, ale drugim strzałem go dobiłem.

Całe stadko uciekło, prócz jednego małego byka, którego z powodu Dennisa zabiłem na przynętę dla lisów; zrobiłem to dla tego, gdyż kilka razy on pudłował.

Trzeci mój Caribou był o wiele mniejszy od tamtych dwóch i naturalnie nie miałem najmniejszej ochoty go zabijać, ale co robić, gdy się ma do czynienia z takim dzikim człowiekiem jak Dennis, a w takich chwilach trudno się spierać.

Wypatroszyliśmy teraz obydwa ostatnie byki, pogoda się tymczasem poprawiła, ale doszliśmy do obozu już późno wieczorem.

Nazajutrz wszyscyśmy wyruszyli po zabite Caribou, zabierając z sobą wszystkie nasze konie. Większa część dnia zeszła na zdejmowaniu skóry i rozdzielaniu mięsa, tak, że znowu późno bardzo znaleźliśmy się w obozie.

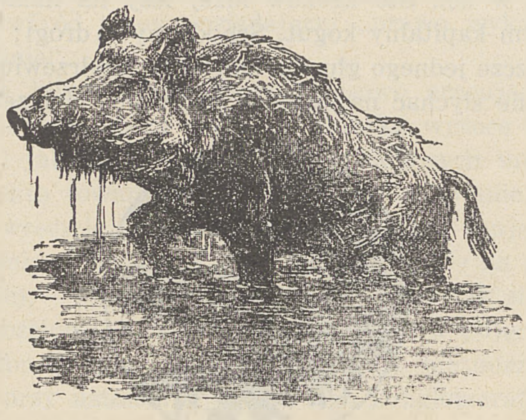
Część mięsa załadowaliśmy do użytku Dennisa i jego rodziny na czas zimowych polowań i na przynętę, gdyż ta okolica specjalnie się nadawała do polowań. Rodzina jego miała wkrótce nadjechać.

Gdy Willy i kucharz zajęci byli soleniem, dzieleniem, i przyrządzaniem mięsa, Dennis i ja wyszliśmy poszukać niedźwiedzia.

Spotkawszy kilka stad Caribou, miałem wielką przyjemność zauważyć, że żaden nie miał tak pięknej głowy jak te dwa, które zabiłem.

Po powrocie naszym, wieczorem, Willy pokazał mi kulę, którą znalazł pod skórą, blisko oka, w jednym z tych dużych byków; przypuszczam, że to była kula z Winchestera, 44—40, wypuszczona zapewne przez jakiegoś Indjanina, myśliwego. W każdym razie kula ta żadnej mu szkody nie zrobiła.

Gdy wszystko było już zapakowane do dalszej wędrówki, opuściliśmy na dobre to pustkowie, by powrócić do Łosiowych Gór i lasów.



DR MICHAŁ MOYSA ROSOCHACKI

OBRAZKI STYRYJSKIE

Z toków w r. 1930

I Przyjazd

Znów minął jeden cały rok życia. Trochę smętnie robi mi się w duszy na myśl o tem, jak długo będę mógł tu jeszcze przyjeżdżać. Styrja wita mnie sympatycznie, gdyż już po drodze, — którą odbywam końmi z kolei — widzę dwie łanie, żerujące na stromej łące pod lasem w rewirze Goscha. Trochę dalej oglądam szczyty, które już w r. 1913 i 1914 słynęły z dobrych tokowisk. Hr. Hangwitz strzelał już na nich za mojej pamięci po kilka cietrzewi a słyszał po kilkanaście. Po dwugodzinnej jeździe przyjeżdżam do G. gdzie mnie — jak zwykle — bardzo serdecznie witają. Zżyłem się z tymi ludźmi, jest mi tu dobrze, cicho i spokojnie a przytem mam uczucie, że są mi tu życzliwi.

Rezultat z służby ochronnej z ubiegłego lata jest mi już znany z poprzednich pisemnych raportów mego gospodarza. Niestety dowiaduję się, że w jednej części rewiru zwanej „Aubauer", gdzie było zawsze dobre tokowisko w tym roku niema nic. Chłopi wycięli las a w nim modrzewie na których głuszce tak chętnie zapadały. W ciągu tego roku ubito tu kilkanaście szkodników, w lecie 1929 pięć rogaczy, zaś w zimie na zasiadce (!!) 14 zajęcy.

II Niedziela w Styrji

27 kwietnia. — Niedziela: Rano — jak zwykle w niedzielę — na podchód nie wychodzę. Po wczorajszej burzy śliczny pogodny, słoneczny dzień. W sąsiedniej miejscowości oddalonej o parę kilometrów piorun spalił dom, stajnię i całe bydło. Dziś zakończenie uroczystej tygodniowej misji w tutejszym kościele. Podczas sumy grała orkiestra składająca się z 16 ludzi, którą dyryguje od lat 20-tu tutejszy kierownik szkoły. Gmina, w której poluję, ma tylko 53 domów, których część skupia się w dolinie, reszta rozrzucona po górach. Dusz jest 350. Dwie sąsiednie gminy w obrębie których leżą dalsze części mego rewiru są prawie tej samej wielkości. Te trzy miejscowości razem, które pod względem ilości domów i mieszkańców równają się najmniejszej gminie każdego niemal z małopolskich powiatów, mają — nawet wedle tutejszych wysokich wymagań — znakomicie zorganizowaną straż pożarną ochotniczą. U stóp kościoła, naprzeciw gospody w której mieszkam, a więc w samym środku wsi, stoi porządna szopa drewniana z wieżą mieszczące mundury i narzędzia strażackie, oraz trzy sikawki z których jedna motorowa najnowszego systemu. Po skończonem nabożeństwie zbiórka straży pożarnej, komendant udziela bieżących wiadomości i zapowiada ćwiczenia, które wogóle często się odbywają. Jeden strażak rozdaje licznie zgromadzonej ludności broszurki o ostrożnem obchodzeniu się z ogniem. Podobno tutejsza statystyka wykazuje, że 40% pożarów powstaje wskutek nieostrożności.

Stojąc między zgromadzonymi, obserwuję tutejszy lud, jest on wogóle biedny i mizerny, bo źle odżywiony. Nic dziwnego: pracują w tak trudnych warunkach, jak przy obróbce pól na najbardziej stromych stokach, gdzie u nas zaledwieby paśli bydło. Pomimo tego są weseli nie pozbawieni swoistego humoru i dowcipu. Punktami zbornemi w tutejszej wiosce to gospody, których jest aż cztery! Wszystkie często odwiedzane. Tutejszy chłop pije dużo piwa, wina mniej, zaś wódki prawie nic.

Gmina G. posiada miejscowy związek hodowli bydła i rasowego buhaja gminnego subwencjonowanego w 30% przez rząd, resztę zaś płaci gmina. Roczny budżet gminny wynosi 3.000 szyllingów. Dochody stanowią jedynie czynsze za polowania i 40% dodatków gminnych, majątku zaś żadnego gmina nie posiada. Elektryfikacja jest tu wysoce rozwinięta, do popędu używana jest wyłącznie niemal siła wodna. Wprawdzie tylko jeden mały potok przepływa środkiem wsi, ale spad jego jest umiejętnie, choć prymitywnie wykorzystany. Są tu dwie elektrownie, kilka młynów o 1—2 kamieniach, 3 tartaki, z których dwa wodne i jeden parowy i to wszystko w obrębie 53 domów mieszkalnych! Młocka, rznięcie sieczki i drzewa odbywa się maszynowo przy popędzie wodnym, tak że najemnicy skarżą się na brak zajęcia szczególnie w zimie. — Przemysł domowy nieznany. Zboże wyprodukowane nie wystarcza, trzeba dokupywać. Jedyne źródło dochodu to sprzedaż bydła podrasowanego i rasowego wyłącznie hodowlanego. Opasów w tych stronach nie znają. Rzecz całkiem naturalna: niewielka ilość wyprodukowanych ziemniaków znajduje z łatwością zbyt na miejscu, a brak karmy treściwej własnej produkcji wyklucza z góry wszelką opłacalność. Zalew bydłem węgierskiem najbliższych rynków zbytu jak Graz i Wiedeń pogarsza jeszcze kalkulację dla tej gałęzi rolnictwa. Natomiast krowy mleczne, buhaje, a w szczególności woły robocze znajdują łatwo lokalnych nabywców. Typ jednolity: bydło siwe, kościste, o kędzierzawych rudawych grzywkach. Jest to rasa z doliny murawskiej tak zwana: „Murtalco". Mleczność krów średnia. Skromne wymagania tej rasy pod względem pastwiska i paszy, oraz odporność na złe warunki klimatyczne w kraju, gdzie bydło od wiosny do jesieni pasie się na stokach i połoninach, stworzyły właśnie z tych „Murtalków" ogólnie użytkowe bydło tutejszej okolicy. Jeśli hodowla bydła poprawia egzystencję tutejszego rolnika, to hodowla koni ze znawstwem i pedantyzmem prowadzona a szczególnie handel końmi nietylko w obrębie Styrji, ale zwłaszcza z bliskiemi Węgrami wzbogaciły wielu tutejszych gospodarzy. W tym dziale także kulturalna ludność tutejsza umie wykorzystać zdobycze nowoczesnego systemu kooperatywy. Od roku istnieje w gminie, w której poluję, dobrowolne, statutowo działające stowarzyszenie właścicieli koni. Premja wynosi 20 szyllingów od ubezpieczonych 1.000 szyllingów. Może ten szkic etnograficzny wychodzi poza ramy opisu toków; uważam jednak, że bodaj pobieżna znajomość warunków życia i pracy ludzi, wśród których od wielu lat spędza się pewien czas w oderwaniu od własnych codziennych kłopotów, dodaje czynnościom czysto myśliwskim treści i urozmaicenia.

III Tokowisko w „Luger"

Noc ciepła pochmurna. Wychodzę z domu z Franzlem o godzinie pół do trzeciej w nocy. Przed 4-tą jestem pod lasem w miejscu zwanem „Luger", gdzie Franzl zasadził wczoraj 3 głuszce. Po chwili słyszę kłapanie dolnego głuszca, który jest najbliżej; czekam kilka minut. Ponieważ nie szlifuje, zaczynam trochę podchodzić a trochę zaskakiwać drugiego, który jest dalej, ale gra znakomicie. Idziemy stromo pod górę. Słyszę go coraz to lepiej. Kilka razy przerwał, ale na szczęście dla mnie na krótko, gdyż stanąwszy na jednej tylko nodze oparty obawiam się, że dłużej jak kilkanaście sekund w tej pozycji stać nie potrafię; najmniejszy zaś trzask i poruszenie w chwili gdy głuszec milczy lub kłapie, to już napewno stracone w tym dniu polowanie. Gdy się ma nawet jeszcze inne koguty w pobliżu, to im jaśniej tem mniejsza możliwość dojścia do strzału, gdyż głuszec jest coraz ostrożniejszy, zaś myśliwy widoczniejszy. Wreszcie z brzaskiem dnia, gdy kury ściągają się na tokowisko, głuszec również zapada na ziemię. Gdy tak zaskakuję, wsłuchany w grę i wpatrzony w miejsce skąd głos pieśni dochodzi, słyszę na prawo nademną jeszcze dwa głuszce grające: jeden lepiej, drugi gorzej. Trzeba bardzo uważać, żeby nie skoczyć w takt pieśni którego z nich. Jakoś mi się udaje. Już jestem blisko głuszca i nagle spostrzegam go. Wygląda jakgdyby zdjęty z najcudniejszego obrazu. Siedzi na modrzewiu i gra już teraz bez przerwy zwrotkę po zwrotce. — Strzał nie wygodny. Próbuję z kilku innych miejsc: jeszcze gorzej, wreszcie okrążywszy modrzew, na którym kogut siedzi, strzelam z tego samego miejsca, skąd go pierwszy raz zobaczyłem, prawie prostopadle przy silnym jeszcze zmroku. Kogut z ciężkim łomotem skrzydeł spada na ukos w dół. W tej samej chwili niżej na lewo słyszę charakterystyczny hałas zrywającego głuszca. To ten, którego chciałem jako pierwszego podchodzić; Franzl chce, bym podchodził drugiego, który gra jeszcze, ja jednak rezygnuję z szansy strzelenia dziś jeszcze jednego, gdyż jestem zaniepokojony losem strzelonego głuszca. Wobec trudnych tutejszych warunków, prawie każdy postrzałek jest stracony. Jeszcze ciemno, więc czekam. Przed 5-tą zaczynamy szukać, idąc od miejsca strzału w dół. Sto kroków niżej leży na halawce pod krzakiem kapitalny kogut. Schodzimy do drogi; idąc, widzę jeszcze jednego głuszca daleko na modrzewiu, a równocześnie słychać na szczycie tokowanie cietrzewia.



JERZY DYLEWSKI

Sprawa pilna i zasadnicza

W odpowiedzi Panu Redaktorowi Michałowi K. Pawlikowskiemu do art. w Nr 23 „Łowca Polskiego 7/VI b. r.

Chciałbym wszystkich Polaków wogóle, a myśliwych w szczególności uszczęśliwić, jeśli więc pisze Pan, Szanowny Panie Michale, że będzie Pan szczęśliwszy, gdy się doczeka przedyskutowania poruszonej przez Niego kwestji, — to spieszę dać Panu, jako przemiłemu znajomemu z lat młodości, choć chwilkę tej ułudy, która jak wszystkie w życiu, niesie za sobą pewne rozczarowanie.

Rozumiem Pana — człowieka idei, rwącego się do czynu, do pracy, żądnego oglądania jej rezultatów i dlatego, że to rozumiem, odpowiadam w treści i formie na jaką mnie stać, ale w założeniu najuczciwiej pojętem, najszlachetniej zrozumianem i do podniesienia opłakanego stanu stosunków łowieckich zawsze wytrwale dążącem.

Już tylko niech mi Pan wybaczy, że od początku nie mogę spełnić Jego życzeń, odpowiadając na łaskawie mi użyczonych łamach „Łowca".

Zazdroszczę Panu tylko jednej, maleńkiej pozornie cechy, a tą jest idealizm, który żywiołowo tryska z każdego Pańskiego słowa.

A jest czego pozazdrościć, bo widocznie jeszcze nie spotkały się z Panem takie przeciwności łowieckie, któreby Go stawiały per nefas poza nawiasem wysokiego świata myśliwskiego.

Ale — przystąpmy do rzeczy i rozpatrzmy cenne uwagi światłego i prawdziwego miłośnika wielkiej sztuki łowiectwa.

Pisze Pan, Szanowny Panie Michale, że „do uzdrowienia stosunków łowieckich i do pracy łowieckiej wogóle powołane jest samo społeczeństwo, że Państwo ma w pracy łowieckiej rolę li tylko wtórną: opiekuńczą, pomocniczą i kontrolującą".

Ślicznie — w teorji. Pięknie — w wysokiem traktowaniu poziomu ogółu społeczeństwa myśliwskiego. A — w życiu?

Aby na to odpowiedzieć, trzeba przeprowadzić analizę jakościową tej mieszaniny społecznej i ustalić procentowy roztwór czynnika chemicznie czystych myśliwych wśród masy posiadającej „prawo wykonywania polowania".

Poza kilkoma zasłużonemi, ideowo pracującemi Towarzystwami, poza nieliczną garstką wysoce kulturalnych i jak się u nas mówi, prawidłowych myśliwych, poza elitą towarzyską, uprawiającą polowanie dla tradycji wreszcie poza kilkunastoma ludźmi znającymi się na rzeczy i chcącymi pracować społecznie na niwie łowieckiej, — powojenny świat myśliwski tak się rozszerzył ilościowo, a tak zdemokratyzował w pojęciu mniej pochlebnem tego słowa, że powstały niezmierne trudności przy ustaleniu jakości tego konglomeratu.

Przecież nie możemy brać pod uwagę nielicznej garstki myśliwych i działaczy, koncentrujących się w Zarządzie P. Z. S. Ł.

Mówię o szerokich masach naszego wielkiego kraju, mówię o prowincji, która ma możność tępienia i tępi zwierzynę bardziej dla mieszkańca Psiej Wólki przystępną, niż dla Warszawianina.

Zawsze gdzieś znajdzie się człowiek dobrej woli, i tam nad Szczarą czy Nidą, nad Dunajcem czy nad Niemnem, ale jednostki nic same zdziałać nie mogą.

W zupełności zgadzam się z Szanownym Autorem, że jest to zadanie należące do społeczeństwa łowieckiego, ale przedtem trzebaby było to społeczeństwo takie zróżniczkowane kształcić i wykształcić, aby w następstwie mogło ono mieć wpływ dodatni na szerokie masy.

Od takiego ogólnego uświadomienia jesteśmy jednakże bardzo daleko.

Pogląd, że łowiectwo jest zabawą, sportem, nałogiem i to nałogiem miernej jakości, tak się utarł, że nawet t. zw. inteligent a niemyśliwy wznieść się ponad to zapatrywanie nie umie, no i nie chce.

Zakres elementarnych wiadomości przyrodniczych wśród inteligentnej warstwy społeczeństwa równa się zeru, bo powiem może zbyt otwarcie, trwa jeszcze choroba wstydu przed brakiem odpowiednich wiadomości z dziedziny chronologji historycznej. Każdy pseudo-inteligent, a tych jest chyba większość, ma za obowiązek pochwalić się w towarzystwie wiadomościami o roku bitwy grunwaldzkiej, o dacie wydania Statutu Wiślickiego, o panowaniu Ludwika XVI, o Stuartach i wielu innych bardzo ciekawych a nie mniej zawiłych sprawach, ale gdy się w takim zespole znajdzie przyrodnik, lub wytrawny myśliwy, traktuje się jego nie mniej ciekawe wiadomości z pewnego rodzaju pobłażaniem i politowaniem, że ten oto nieszczęśnik interesuje się przelotem ptactwa, życiem i zwyczajami zwierząt, że zaprząta sobie głowę (niepotrzebnie) nazwami łacińskiemi jakichś tam gatunków kaczek, jastrzębi i t. p.

Słusznie zupełnie i nadzwyczaj trafnie zestawił Pan jaskrawą różnicę w traktowaniu rybołóstwa z łowiectwem.

Ale bo też ryby dają odrazu, w pierwszym roku hodowli, znaczny dochód, mnożą się miljonami, dając wzamian miljony płynące do kasy państwowej w formie podatków.

Ryby dają uchwytniejsze i bardziej przystępne korzyści materjalne, — nie wymagają pewnych koniecznych warunków ogólnej kultury — mogą być hodowane w ściśle określonem i niewielkiem miejscu, a przedewszystkiem, co najważniejsza, doczekały się handlowego traktowania wówczas, gdy łowiectwo ciągle znajduje się pod znakiem luksusowego sportu.

To jest zasadnicza różnica, bez usunięcia której wprowadzenie łowiectwa na właściwe dla dzisiejszej epoki tory — nie da się pomyśleć.

Tak jest wśród inteligencji.

A jak się przedstawiają szeregi myśliwskie powojennej doby.

Trochę odseparowanej od całości życia myśliwskiego arystokracji, trochę ludzi bogatych i ustosunkowanych, trochę przemysłowców i kupców, związanych swą branżą z myśliwstwem, trochę ludzi pragnących przez polowanie nawiązać stosunki z wyższemi sferami, trochę takich dygnitarzy, którym „wypada" polować, aż za dużo strzelców a nie myśliwych, wielu bardzo wielu na prowincji takich, którzy o „prawie wykonywania polowania" przez siebie marzyć przed wojną nie mogli i... nieliczna w tem wszystkiem a rozprószona garstka prawdziwych miłośników, ideowych działaczy, bezinteresownych patrjotów, pragnących dać z siebie maksimum wysiłku w pracy społecznej, aby uchronić zwierzynę przed zagładą, a podnieść ogólny poziom etyczny tych wszystkich, którzy posiedli prawo polowania.

Ideowo — bezinteresownej pracy społecznej może służyć i służy tylko prawdziwie kulturalny i, że tak powiem, przedwojenny inteligent.

Mówmy otwarcie. Tu nie chodzi o wychwalanie jednej kasty lub poniżanie drugiej — tu chodzi — rzeczywiście o „sprawę zasadniczą i pilną".

Inteligencja, ta rzetelna inteligencja znajduje się przecież obecnie w warunkach, które bynajmniej nie dają jej możności wydobycia ze swoich nadwątlonych sił tego maksimum natężenia, jakie mogłaby ofiarować na widoczne rezultaty, zmierzające do poprawy stosunków naszego świata łowieckiego.

To jest za mała dzisiaj siła do poruszania tak wielkiej machiny i do utrzymania przez pewien czas tej machiny w ruchu, i dlatego pokładać nadzieje na samej pracy społecznej jeszcze nie można.

Gdyby w dodatku istniejące wysiłki nie szły na marne przez rzucanie pod nogi kłody społecznikom, którzy w najszlachetniejszej myśli stoją w opozycji do niektórych poczynań sfer kierujących, gdyby można było wyrobić w naszem społeczeństwie przedewszystkiem poszanowanie cudzego, choć odmiennego zdania, gdyby prywata nie odgrywała tej roli, jaką odgrywa, gdybyśmy wszyscy mieli odwagę jasno i otwarcie wypowiadać swe sądy, — byłoby rzeczą pewną, że w łowiectwie dalibyśmy sobie radę przy tych siłach, jakie posiadamy i temi środkami, jakie Pan zaprojektował.

Ale w tych warunkach, jakie zdają mi się być nieprzejaskrawione pesymistycznie, w tych warunkach, z któremi stykam się w odrodzonej Ojczyźnie na terenie czynnej pracy społecznej przez lat dziesięć, nie mogę się jeszcze przechylić na stronę wywodów Szanownego Autora, z którym mam zaszczyt polemizować.

Jeśli chodzi o zaradzenie katastrofie, jeśli chodzi o natychmiastowy ratunek, o bezzwłoczną pomoc w omawianej dziedzinie, — to podkreślam, w tej chwili, musi to załatwić przepis prawny, poparty mocną sankcją karną, przy współudziale dobrze zorganizowanego czynnika wykonawczego.

Do tych postulatów, do tych pięknych projektów, które Pan, Panie Michale, podaje, musimy stale dążyć, bo to oczywiście uważam za szczyt naszych zadań łowieckich, ale tymczasem trzeba robić tak, aby „przednówek" przetrzymać.

Nie możemy sobie powiedzieć, że stoimy na wysokim poziomie etyki łowieckiej, tem więcej nie możemy zamykać oczu na rażący brak poszanowania prawa w naszem społeczeństwie.

Cóż poradzi dziesięciu nawet najżarliwszych delegatów, gdy w starostwie nie będzie takiego referenta o jakim Pan wspomina? Cóż pomoże akcja społeczna z takim np. starostą, który dla innych, zupełnie innych niż łowiectwo celów, jako zachętę lub nagrodę, wydaje bilety na broń?

Szczęśliwe są te powiaty, które w osobie starosty znajdują jednocześnie i myśliwego, — ale biada tym, którzy popadają pod częste przecież zmiany starostów niemyśliwych.

Widocznie jednak ten ważki urząd może sprawić wiele dobrego lub złego w dziedzinie łowieckiej, — skoro wszyscy bez wyjątku myśliwi radują się z nominacji myśliwego i smucą jego ustąpieniem.

Brak nam dobrego, życiowego prawa pisanego, zmuszającego powołane urzędy do współpracy ze społeczeństwem.

Delegat jest niczem wobec starosty, który nie ma przymusu i nie chce wysłuchać fachowych rad, a gdy się weźmie pod uwagę, jak już powiedziałem, częste zmiany na tem stanowisku urzędowem to łatwo jest przyjść do przekonania, że spodziewany rezultat może wydać tylko akcja wspólna poparta przepisami obowiązującemi zarówno organizacje społeczne jak i urzędy.

Bez tego warunku wszystkie usiłowania społeczeństwa łowieckiego, dążące do polepszenia panujących stosunków, obrócą się w niwecz.

Sądownictwo posiada ekspertów — biegłych, — dlaczegożby decyzje wysokiego a niefachowego urzędnika nie mogły być poparte zdaniem ludzi znających przedmiot i miejscowe stosunki.

I nie o jakiś luźny kontakt z Władzami powinno chodzić Z. P. S. Ł., ale o ustawowe zapewnienie sobie ingerencji w sprawach związanych ściśle z wykonywaniem polowania, z posiadaniem broni myśliwskiej i t. p.

Tylko wspólne wysiłki i wzajemne dopełnienie ideowej czysto pracy dadzą rezultaty pozytywne.

O szeroko pojętym liberalizmie, o tem, aby łowiectwem rządziły „silne, karne, bogate i świadome swych celów zrzeszenia łowieckie" mówić będziemy mogli dopiero wówczas, gdy wyszczególnione przymiotniki staną się rzeczywistością.

Czy taki luźno naszkicowany projekt da się wprowadzić, czy zgodzą się na to czynniki rządzące i czy można wogóle nad takiem rozwiązaniem poruszonego zagadnienia wszczynać dyskusję — to pozostawiam bez odpowiedzi.

Radykalne reformy nie są jednak tak rewolucyjne w konsekwencjach jak to Szanowny Autor sądzi. Wszelkie prawo musi tylko posiadać odpowiednio przygotowany, wyćwiczony i uświadomiony organ wykonawczy. Bez niego staje się rzeczywiście martwą literą, wywołującą zamęt i wzbudzającą jeszcze większy brak poszanowania tego prawa.

Rola Państwa nie może ograniczyć się do „opieki, pomocy i nadzoru".

Tętniący zdrowem życiem organizm społeczności myśliwskiej musi mieć zapewnione ustawowe, prawne i uzasadnione drogi współdziałania z Władzami bez supremacji w kwestjach oczywiście gdzie wchodziłoby w grę bezpieczeństwo publiczne.

Dlatego też nowelizacja Rozp. Prez. Rzp. z 3 grudnia 1927 r. jest niezmiernej wagi aktem w naszem życiu łowieckiem i Z. P. S. Ł. nie może zaniedbać najmniejszej okazji do wykorzystania wszystkich, bodaj skromnych prac, zasługujących na uwagę, a zmierzających do życiowego, trzeźwego i racjonalnego poprawienia zasadniczych błędów obowiązującego prawa.

Mojem zdaniem, Szanowny Panie Michale, tylko takie znalazłem chwilowo rozwiązanie rzeczywiście pilnej i zasadniczej sprawy.



Z OSTATNIEJ CHWILI

†

JULJAN EJSMOND

Referent łowiecki przy Ministerstwie Rolnictwa, literat, poeta, były nacz. Redaktor Łowca Pol.

zmarł w dniu 29-go czerwca b. r. wskutek wypadku samochodowego w Zakopanem.

Sprawy Towarzystwa

Sprawozdanie z posiedzenia Wydziału M. T. Ł. w dniu 17 czerwca 1930 r.

Przewodniczy Wiceprezes Cyryl Czarkowski-Golejewski, obecni wiceprez.: A. Mniszek i A. Sander, członkowie Wydziału: inż. A. Ebenberger, T. Jędrzejowicz, Dr. Fr. Piechowski i zastępcy: M. Chrzanowski i St. Madeyski.

Nieobecność usprawiedliwili: Prezes J. hr. Bielski, Wł. Garapich, St. Jaśkiewicz, St. Pieńczykowski, Dr. J. Rosienkiewicz i Gen. hr. Meraviglia-Crivelli.

Stwierdzono, że ustalenie terminu Zjazdu i rozstrzygnięcie pytania czy ze Zjazdem połączyć premjowe strzelanie jest zawisłem od porozumienia się z władzami wojskowemi, które z początkiem września urządzają Narodowe zawody strzeleckie, z Zarządem Targów Wschodnich, który w tym czasie projektuje rozmaite imprezy, a wreszcie od zaznajomienia się z kalendarzem wyścigów jesiennych. Po zebraniu tych wszystkich informacji Wydział ostatecznie w sprawie tej zadecyduje.

Załatwiono cały szereg spraw administracyjnych.

Uchwałą Wydziału z dnia 5 kwietnia 1930 r. na wniosek Kom. Woj. Policji Państwowej w Krakowie z 31-go grudnia 1929 r. Nr. 22123/29, nadano odznakę honorową następującym funkcjonarjuszom Policji Państw.:

Post. Władysł. Bieleckiemu w Grojcu pow. Oświęcim, przod. Janowi Bożekowi w Gawłuszowicach pow. Mielec, post. Franciszkowi Ćwikowi w Krakowie, przod. Janowi Gawronowi w Rajczy pow. żywiec, post. Stefanowi Goryczko w Szczurowej pow. Brzesko, post. Władysławowi Grzybkowi w Rajczy pow. żywiec. st. post. Franciszkowi Hahorkiewiczowi w Gdowi pow. Wieliczka, st. post. Janowi Jaworskiemu w Ujsołach pow. żywiec, post. Janowi Kaczmarczykowi w Wiśniczu pow. Bochnia, przod. Janowi Kasprzykowi w Ołpinach pow. Jasło, post. Wojciechowi Kosibie w Nowym Sączu, przod. Henrykowi Kozinie w Kamienicy pow. Limanowa, st. post. Józefowi Kozłowskiemu w Nowym Sączu, post. Kazimierzowi Krupie w Alwerni pow. Chrzanów, post. Józefowi Kurdzielowi w Rajczy pow. żywiec, st. post. Teofilowi Lisiewiczowi w Radomyślu pow. Mielec, post. Józefowi Mamonowi w Woźnikach pow. Wadowice, st. post. Michałowi Marszałkowi w Ujanowicach pow. Limanowa, st. przod. Andrzejowi Pajorowi w Przecławiu pow. Mielec, przod. Franciszkowi Pandlowskiemu w Podłężu pow. Bochnia, st. post. Franciszkowi Petekowi w Balinie pow. Chrzanów, st. post. Stanisławowi Rzęsikowskiemu w Nowym Sączu, post. Józefowi Sieniawskiemu w Rzochowie pow. Mielec, przod. Stanisławowi Skoczylasowi w Nowym Sączu, post. Piotrowi Skowronkowi w Grojcu pow. Oświęcim, post. Franciszkowi Śmiałkowi w Izdebniku pow. Wadowice, post. Władysławowi Słobodzianowi w Przeciszowie pow. Oświęcim, st. post. Józefowi Smulskiemu w Ujsołach pow. żywiec, przod. Franciszkowi Suchankowi w Przeciszowie pow. Oświęcim, post. Józefowi Szewczykowi w Kamienicy pow. Limanowa, st. przod. Władysławowi Tokarczykowi w Makowie, post. Józefowi Trzaskotowi w Przecławiu pow. Mielec, st. post. Stanisławowi Twardemu w Alwerni pow. Chrzanów, post. Franciszkowi Wąsowi w Skrzydlnej pow. Limanowa, st. przod. Eljaszowi Wenykowi w Oświęcimiu, st. przod. Szymonowi Więcławowi w Węgierskiej Górce pow. żywiec, przod. Władysławowi Włodarczykowi w Łapanowie pow. Bochnia, przod. Franciszkowi Zającowi w Sieprawiu pow. Myślenice.

Tą samą uchwałą Wydziału, na wniosek Komendanta Woj. Policji Państwowej w Tarnopolu z dnia 11 grudnia 1929. L. 10789/29. nadano odznakę honorową następującym funkcjonarjuszom Policji Państwowej:

Post. Stanisławowi Biedzie w Kasperowcach, post. Józefowi Dubieli w Uścieczku, post. Bronisł. Janiesiewiczowi w Nowosiółce, st. post. Stefanowi Laksowi w Nowosiółce, przod. Andrzejowi Szamborskiemu komendantowi Posterunku P. P. w Kasperowcach, post. Antoniemu Szabowskiemu w Kasperowcach, przod. Józefowi Wacykowi komendantowi Posterunku P. P. w Dźwiniaczu, post. Stanisławowi Warzocha w Zaleszczykach, post. Wincentemu Wiktorkowi w Nowosiółce, wszystkim z powiatu zaleszczyckiego.

Uchwałą Wydziału z dnia 22 maja 1930, na wniosek Komendanta Woj. Policji Państw. w Krakowie z dnia 1 maja 1930, Nr. 6517/30, nadano w dalszym ciągu odznakę honorową:

Post. Józefowi Góra i post. Franciskowi Józefowiczowi w Kętach pow. Biała.

Antoni Ślepowron Juściński

ziemianin, długoletni członek M. T. Ł.

zmarł dnia 30 maja 1930 r., w majątku swoim Olszanica koło Ustrzyk

Cześć Jego pamięci!

Z Oddziału Małop. Tow. Łowieckiego w Krakowie

SPRAWOZDANIE

z dorocznego Ogólnego Zebrania Członków Oddziału w Krakowie w dniu 23 maja 1930 r.

Przewodniczący — prezes Oddziału p. gen. dyw. Józef Stiller zagaja Zebranie krótkiem przemówieniem, wita przybyłych i dziękuje im za przybycie, zwłaszcza uczestnikom zamieszkałym poza Krakowem. W końcu swego przemówienia poświęca przewodniczący gorące wspomnienie zmarłym członkom Towarzystwa ś. p. Antoniemu Skopińskiemu, b. skarbnikowi Oddziału w Krakowie, oraz delegatom Tow. ś. p. Zygmuntowi Zawadzkiemu w powiecie tarnowskim i ś. p. dr. Edwardowi Zielińskiemu w powiecie nowosądeckim. Wspomnienia tego. w uczczeniu pamięci Zmarłych, wysłuchali zebrani stojąc.

Po odczytaniu i przyjęciu protokołu z poprzedniego Ogólnego Zebrania z dnia 6 lutego 1929, przedłożył sekretarz p. Stan. Moravetz, imieniem Wydziału, szczegółowe sprawozdanie z czynności Zarządu i zamknięcia rachunków za r. 1929. Sprawozdanie to opiewa, jak następuje:

„...Z pośród ważniejszych czynności Zarządu i wydarzeń dotyczących Oddziału w ubiegłym okresie sprawozdawczym, wymieniamy następujące:

W miesiącu czerwcu ub. r. dokonano, na przedstawienie nasze i przy interwencji Centrali M. T. Ł., mianowania powiatowych delegatów Oddziału zarazem delegatami łowieckimi Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich. Rozsyłkę legitymacyj uskuteczniliśmy w sierpniu z. r. a regulaminów delegackich w styczniu b. r. Ogółem mianowanych jest już na obszarze Województwa krakowskiego 69 delegatów, do których przybywa jeszcze kilka mianowań uzupełniających.

W październiku z. r. interwenjowała delegacja Wydziału w Województwie krak. o przyspieszenie załatwienia wniesionego przez nas podania o rozszerzenie czasu ochronnego dla zająca-szaraka i sarny-kozła, oraz dodatkowo dla dzikiej kaczki, o czem powiadomiliśmy pp. delegatów osobnym okólnikiem. Wkrótce potem dnia 11 grudnia, opierając się także na rozporz. Min. Roln. z 12 października 1929 r., wydało Województwo rozporządzenie rozszerzające na całym obszarze wojewódzkim na rok 1930 czas ochronny dla zająca, kozła i dzikiej kaczki, przyczem dodało od siebie rozszerzony czas ochronny także dla kuropatwy (komunikat Oddziału w Łowcu z 1 stycznia 1930).

W sprawie kłusownictwa i wnykarstwa odnieśliśmy się z pisemnem przedłożeniem do Prezydjum Sądu Apelacyjnego w Krakowie, prosząc o spowodowanie stosowania najsurowszych ustawowych kar za kłusownictwo i wnykarstwo, które to przestępstwa wyrządzają tak wielkie szkody w stanie łownym zwierzyny. Prosiliśmy w szczególności, ażeby odszkodować się mająca trzykrotna wartość zabitego zwierzęcia ocenianą była nie według cen targowo-spożywczych, lecz według cen hodowlanych. P. Prezes Sądu Apelacyjnego wydał okólnik, w którym wskazuje na okoliczność, że jedynie tylko ścisłe przestrzeganie postanowień karnych prawa łowieckiego i surowe karanie wymienionych przestępstw może przyczynić się do utrzymania prawidłowej gospodarki łowieckiej i prosi PP. Naczelników Sądów Grodzkich i PP. Prezesów Sądów Okręgowych o zwrócenie uwagi odnośnym Sędziom karnym na konieczność surowego karania winnych przestępstw z ustawy łowieckiej, oraz uwzględniania postanowień tej ustawy o odszkodowaniu za zabitą lub złowioną zwierzynę. Okólnik ten udzielił P. Prezes Sądu Apelacyjnego do wiadomości naszego Oddziału.

Podanie o surowe wymiary kar za kłusownictwo i wnykarstwo wystosowaliśmy także do tutejszego Starostwa. Według udzielonego nam do wiadomości okólnika z dnia 16 grudnia z. r. poleciło Starostwo naczelnikom gmin w powiecie zapobieganie i przeciwdziałanie pladze kłusownictwa i wnykarstwa, także przy pomocy wszystkich zaprzysiężonych strażników kultury krajowej i miejscowych strażników polowych. Nadto przypomina okólnik z ustawy łow. ważniejsze przepisy dla ochrony polowania i poleca publiczne w gminie ogłoszenie jego treści w porozumieniu z miejscowym kierownikiem szkoły, celem rozpowszechnienia wydanego zarządzenia. Za wszelkie przekroczenia grozi okólnik pociągnięciem winnych do najsurowszej ustawowej odpowiedzialności karnej.

Odnieśliśmy się także z pisemnem przedstawieniem do Magistratu m. Krakowa o wydanie zarządzeń w przedmiocie rozwinięcia przez dotyczące organy, zwłaszcza na placach targowych, czujnej kontroli nad handlem zwierzyną łowną i jej pochodzeniem a także na rogatkach przy wprowadzaniu zwierzyny w obręb miasta. Nadto podaliśmy do kroniki najpoczytniejszych dzienników krakowskich notatki dla kupców, restauratorów i handlarzy zwierzyny o rozszerzonej ochronie zajęcy, kuropatw, sarn-kozłów i dzikich kaczek, z przypomnieniem normalnych terminów ochronnych dla bażantów, drozdów, kwiczołów i paszkotów.

W marcu z. r. wystosowaliśmy podania do wszystkich Starostw Województwa krak., ażeby konfiskowana i przeznaczona na zniszczenie broń myśliwska dostawianą była na publiczną licytację w stanie całkowicie niezdatnym do użytku, wykluczającym w zupełności możność ewentualnej naprawy i dalszego użytku.

Z końcem kwietnia z. r. zwróciliśmy się do Województwa z pisemnem przedstawieniem o wydanie stosownego poinstruowania w sprawie konfiskaty broni i karalności z art. 24, 83 i 86 prawa łow. z r. 1927.

Zgodnie z uchwalonym wnioskiem na Ogólnem Zebraniu członków zwróciliśmy się do Centrali Tow. we Lwowie o interwencję w Polskim Związku Stow. Łow. w Warszawie, ażeby przy nowe-

lizacji prawa łowieckiego uwzględniono także sprawę plombowania przeznaczonej na sprzedaż zabitej zwierzyny. Według komunikatu Centrali sprawa ta, łącznie z innemi naszemi postulatami, objęta została ogólnym jej memorjałem do Pol. Związku Stow. Łow. (Dok. nast.)

Kraków, dnia 23. maja 1930 r.

Przewodniczący i prezes Oddz. sekretarz
Józef Stiller em. gen. dyw. *Stanisław Morawetz*

Komunikaty

Z XXII. posiedzenia Zarządu Śl. Tow. Łow.

1. W uznaniu zasług położonych na polu tępienia kłusownictwa Śl. Tow. Łowieckie przyznało za rok 1929 w formie pieniężnych nagród 29 premji w łącznej kwocie 1.150 zł oraz wydało 3 ozdobne dyplomy i 25 listów pochwalnych. Wszyscy premjowani złożyli Towarzystwu serdeczne podziękowania i Zarząd jest pewny, że akcja premjowania dla poprawy stosunków w łowiectwie na Śląsku będzie bardzo skuteczną.

2. Zapadła uchwała zakładania kół w poszczególnych powiatach, oraz wszędzie tam, gdzie warunki miejscowe na to zezwalają. **Zarząd porucza wszystkim Delegatom, aby akcję tę bezzwłocznie podjęli i z wyniku złożyli sprawozdanie w terminie do 1 lipca 1930 r.** Zasady organizacyjne: Członkowie koła są członkami Towarzystwa, płacą takie same wkładki, rządzą się statutem Towarzystwa, nazwa: Koło Śl. Tow Łowieckiego w .... Regulamin dla Koła zostanie opracowany przez Towarzystwo.

3. Zarząd uchwałą przyjął z pewnemi poprawkami opracowany „Regulamin dotyczący premjowania" i postanowił przedłożyć go najbliższemu Walnemu Zebraniu.

4. Solidaryzując się z treścią Komunikatu Zw. Stow. Łowieckich w Warszawie z 5 maja 1930 r., Śl. Tow. Łowieckie wycofuje się z udziału w obesłaniu Międzynar. Wystawy Łowieckiej w Lipsku, mimo, że przygotowania do wycieczki były już daleko posunięte.

5. Celem ożywienia stosunków w łonie Towarzystwa, Zarząd postanowił urządzić dla członków 2 lub 3 wspólne polowania w zbliżającym się sezonie. Poczyni odpowiednie starania, aby myśl tę zrealizować i jeżeli — mimo pewnych trudności — okaże się to możliwe, zawiadomi we właściwym czasie wszystkich Członków.

6. Uznano konieczność opracowania regulaminów: 1. dla Delegatów, 2. dla kół prowincjonalnych i 3. statutu fundacji im. ś. p. Tadeusza Palacza, pierwszego Prezesa Towarzystwa.

7. W rezultacie przeprowadzonych z delegatami Koła w Rybniku rozmów postanowiono: Przyjąć Koło Rybnik w poczet Towarzystwa z tem, że Zarząd koła wyłącznie ponosi odpowiedzialność za kwalifikacje swych członków. Ustalono na razie, że Koło deleguje trzech członków do Zarządu Towarzystwa. Koło wpłaca na rzecz Towarzystwa 50% swych wpływów. Szczegóły zostaną ustalone w wydać się mającym regulaminie.

8. Zaszedł gorszący wypadek, że jeden z członków w niewłaściwy i Towarzystwo krzywdzący sposób, poddał krytyce jego działalność, stawiając mu niczem nieuzasadnione i niesłuszne zarzuty. Zarząd piętnuje takie postąpienie i w związku z tem prosi wszystkich członków o możliwą współpracę, o nadsyłanie wniosków i życzeń, tak, aby aktywnym wysiłkiem wszystkich działalność Towarzystwa była ulepszoną i jaknajlepsze wyniki osiągła ku dobru spraw łowieckich.

9. Członkowie, pragnący otrzymać legitymację, odznakę lub statut, zechcą zwrócić się pisemnie do Zarządu.

Zarząd przesyła wszystkim P. T. Członkom pozdrowienia

Łowcom cześć!

Sekretarz Prezes
Dr. Jan Podgórny *Wacław Paczkowski*

II Zawody Strzelecko-Śrutowe w Rembertowie

Dnia 8 czerwca o godz. 10 rano odbyło się uroczyste otwarcie drugich zawodów strzeleckich śrutowych, organizowanych dorocznie przez Zarząd Zakładów Amunicyjnych „Pocisk" na własnej strzelnicy w Rembertowie.

Na standzie widzieliśmy reprezentantów wszystkich dzielnic kraju, którym urozmaicony program i wielka ilość ofiarowanych nagród dały pole do popisu w umiejętności wykonania strzału śrutowego.

Oprócz mistrzów widzimy szereg nowicjuszy, których wyniki wzbudzają podziw i pozwalają wyrazić przypuszczenie, że mamy w kraju jak najlepszy materjał, mogący śmiało rywalizować z najwytrawniejszymi zawodnikami Europy.

Poparcie starań organizacji przez instytucje sportowe, firmy krajowe i zagraniczne oraz organizatorów zawodów zdziałało, że osiągnięte wyniki zostały wyjątkowo pięknemi i cennemi przedmiotami nagrodzone. Przy niniejszem możemy nadmienić, że w czasie obecnym odbywają się w wielu miejscowościach Europy zawody śrutowe z których największe w Rzymie. Nagrody niektóre wynosiły od 200 do 400 tysięcy lirów. U nas nagrody stanowią: piękna broń myśliwska, puhary i przedmioty. Do dyspozycji organizatorów król. stoł. m. Lwów ofiarowało wielki srebrny puhar przechodni; Wielkopolski Związek Myśliwych funduje cenny upominek w postaci srebrnego puharu. Szereg firm przeznacza nagrody swojego imienia, a więc firma R. Ziegler (Liege i Warszawa) sztucer myśliwski z monetą, firma J. Sosnowski sztucer. W roku bieżącym zostaje powtórnie rozgrywana nagroda Prezesa Nossinga „Złoty Głuszec". Z zagranicznych wymienimy cenną nagrodę firmy L. Olry - Roeder Reims, wreszcie wiele nagród imienia Z. A. „Pocisk" S. A.

Liczba uczestników wskazuje, że Zawody w roku bieżącym cieszyły się niebywałem zainteresowaniem.

W dniu 30 czerwca zostaną rozegrane wielkie Zawody śrutowe w Poznaniu, następnie w dniach 14, 15 i 16 lipca dorocznie zorganizowane strzelania śrutowe w Zoppot, gdzie z pewnością nie braknie zawodników z Polski.

Poniżej wymieniamy wyniki pierwszych czterech miejsc każdej konkurencji:

Niedziela 8 czerwca. Nagroda otwarcia Z. A. „Pocisk" S. A. 20 talerzyków (2 serje po 10) 15 str. — 1) Józef Kiszkórno mistrz Polski 20, 2) Jan Szczepkowski 19 po rozgrywce, 3) Wacław Goliszewski, 4) H. Messing 17.

Nagroda firmy H. Ziegler 30 talerzyków (serjami po 10) 15 m — 1) Por. Baranowski A. 29 po rozgrywce, 2) J. Kiszkórno 29, 3) H. Messing 28 po rozgrywce, 4) Zawadzki K. 28.

Poniedziałek 9 czerwca. Nagroda Wędrowna król. stoł. m. Lwów dystans 15 m 30 talerzyków (serjami po 10) rozgrywka do pierwszego i ‚pudła" — 1) kpt. Sztukowski St. 30/30, 2) Czerski St. 28 po rozgrywce, 3) Józef Kiszkórno 28, 4) W. Kiszkórno 28.

Niedziela 8 czerwca. Nagroda im. Z. A. „Pocisk" S. A. 16 m 20 talerzyków (serjami po 10) — 1) St. Czerski, 20 po rozgrywce, 2) J. Kiszkórno 20, 3) kpt. Stefan Sztukowski 20, 4) por. A. Baranowski 20.

Nagroda Wielkop. Związku Myśliwych 15 talerzyków (serjami po 5), Handicap następnie 5 talerzyków z 20 m (bez pudła), 1) J. Kiszkórno, pełny wynik, 2) kpt. Sztukowski, 3) Mec. A. Prymak, 4) A. Baranowski.

Poniedziałek 9 czerwca. Nagroda firmy J. Sosnowski, dla wygrywających pierwsze nagrody w dn. 8 i 9 czerwca, dystans 14 m 20 talerzyków (2 serje po 10), 1) kpt. St. Sztukowski, 20 na 20 po rozgrywce, 2) H. Messing 20, 3) J. Kiszkórno 19, 4) Wacław Goliszewski 19.

Nagroda im. H. Messinga, 10 talerzyków strzelonych po 1 z odległości od 11 do 20 m, następnie 5 rzutków z odległości 18 m. Rozgrywka z dystansu 15 m „do pierwszego pudła", 1) Józef Ki-

szkórno 18/18, 2) kpt. Stefan Sztukowski 14/15, 3) H. Messing 14/15, 4) W. Ziegenhirte 13/15.

Nagroda im. Z. A. „Pocisk" S. A. 40 talerzyków (serjami po 5) 15 m, 1) J. Kiszkórno 39, 2) W. Ziegenhirte 37, 3) Witold Kiszkórno 36, 4) H. Messing 35.

Wtorek 10 czerwca. Wielka Nagroda Z. A. „Pocisk" S. A. 100 talerzyków 15 m rozgrywka w dwóch dniach. W pierwszym dniu 60 talerzyków (serjami po 10), 1) Baron Rozenwerth 59 po rozgrywce, 2) Józef Kiszkórno 59,) kpt. Sztukowski 56, 4) Lipczyński 54 po rozgrywce, 5) Łyskowski.

Nagroda Standu Z. A. „Pocisk" S. A. 15 m 20 talerzyków, 10 talerzyków dubletami na 10 m, 1) Goliszewski W. 17 po rozgrywce, 2) Ks. H. Lubomirski 17, 3) Stanisław Czerski 16 po rozgrywce, 4) Łyskowski 16.

Środa 11 czerwca. Wielka Nagroda Z. A. „Pocisk" S. A. 40 talerzyków serjami po 10, 1) Józef Kiszkórno 29, 2) Lipczyński 37 po rozgrywce, 3) kpt. Sztukowski 34, 4) Baron Rozenwerth. Wynik ogólny: J. Kiszkórno 98%, Baron Rozenwerth 96%, kpt. Sztukowski 94%, Lipczyński 91%.

Nagroda Pocieszenia Z. A. „Pocisk" S. A. 15 m 20 talerzyków (serjami po 5), 1) H. Chełmicki 19, 2) Zieleniewski K. 18, 3) Nowicki Jerzy 16 po rozgrywce, 4) Lisowski Czesław 16.

T. Jurjewicz

I Zawody Strzeleckie

„Pomorskiego Klubu Myśliwskiego w Grudziądzu"

odbyły się dnia 11/VI na strzelnicy wojskowej w Małem Tarpnie (strzelanie na 30 m i na 200 m zbroni długiej i na 15 m z pistoletów) oraz na strzelnicy Bractwa Strzeleckiego przy ul. Chełmińskiej (strzelanie myśliwskie i małokalibrowe).

Strzelanie wojskowe rozpoczęło się o godz. 9, a myśliwskie o godz. 11,30. Strzał na otwarcie zawodów oddał Delegat Pana Wojewody Pomorskiego, poczem strzelania odbywały się (z przerwą godzinną wczasie deszczu) aż do zmroku. Obecnym był Prezydent miasta Włodek, komendant garnizonu Generał Rachmistruk, komendant Centrum Kawalerji Pułkownik Podhorski z małżonką, Pułkownik Dr. Chełmicki i wiele osób z całego Pomorza innteresujących się sportem strzeleckim jak np. PP. Dębski z Łasina, hr. Alvensleben, Pułkownik Kieszkowski, Falkenhayn z Białochowa, Łyskowski z Komorowa, Mieczkowski z Działowa, Hellenbrandt z Torunia i t. d.

Podobnie jak i w latach poprzednich organizacja zawodów funkcjonowała należycie; udział zawodników był w strzelaniach myśliwskich i małokalibrowych duży, zaś w wojskowych znacznie mniejszy.

Ogółem we wszystkich konkurencjach brało udział 130 zawodników (w tem 9 pań), a dano 3.300 strzałów i wyrzucono 1.200 rzutków.

Osiągnięte w strzelaniach myśliwskich, do rzutków wyniki są wyjątkowo wysokie; wykazują one, że Pomorski Klub Myśliwski i wogóle Pomorze posiadają wielu strzelców wysokiej klasy, którzy mogą liczyć na powodzenie nietylko na zawodach prowincjonalnych lecz także na ogólno-państwowych, a nawet i zagranicznych.

Do doskonałego zorganizowania zawodów przyczyniło się w wysokim stopniu życzliwe poparcie Komendanta Garnizonu Pana Generała Rachmistruka oraz bezinteresowna gościnność Bractwa Strzeleckiego.

Do Komitetu Zawodów należeli Dyr. Krupski, Mjr. Chojecki, Dr. Urbański, Mjr. Mańkowski, Kpt. Kruczek, Kpt. Pulda, Kpt. Jabłoński, p. Jan Kędzierski, p. Konstanty Łyskowski i p. A. Czapczyk.

Obecnym był i współdziałał z Komitetem przedstawiciel Zakładów Amunicyjnych „Pocisk" S. A. w Warszawie p. Tadeusz Jurjewicz, który przez swą dwuletnią współpracę z Towarzystwami myśliwskiemi utorował drogę doskonałym wyrobom swej firmy na rynek pomorski, zajęty przedtem niepodzielnie przez zadomowione tu od dziesiątek lat stare marki niemieckie.

Doroczne konkursowe strzelanie myśliwskie Wielkopolskiego Związku Myśliwych

odbyło się w dniach 29, 30 czerwca i 1 lipca 1930 r. w Szelągu pod Poznaniem.

Ogłoszenie tych zawodów otrzymaliśmy już po wydaniu numeru „Łowca" z 16 czerwca 1930 r., wskutek czego nie mogliśmy go podać do wiadomości naszych Czytelników.

Red.

Starostwo Powiatowe w Chrzanowie

Dnia 16. czerwca 1930 r. L. 8607/29

W dniu 7. lipca 1930 o godzinie 12-tej odbędzie się w gmachu Starostwa w Chrzanowie biuro Nr. 10 ustny przetarg na skonfiskowaną broń myśliwską.

Sprzedane będą 10 pojedynek, 9 dubeltówek, 3 floberty.

Starosta powiatowy
Dr. Łęcki

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego
Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 85 - 16